

N. S. Lincoln.

Trup w kasie.

Amerykański romans kryminalny.

10

Dik ledwie wierzył swym uszom. Kamorra!... Czy śnił te straszne rzeczy? Wzburzenie, jakie go opanowało, nie pozwoliło mu dosłyszeć kilku następnych zdań, które na dole wymówiono. W tej chwili jednak zauważył, że człowiek, siedzący naprzeciwko przewodniczącego zachowuje się bardzo dziwnie. Zaczął więc znowu nasłuchiwać i zrozumiał dokładnie następujące słowa:

— Pan domaga się wyjaśnienia spraw? W takim razie musi się pan zwrócić do Giovanniego Savelli! On kieruje sprawą Trevorów. Ale czy pan nie jest jednym z jego agentów?

Odpowiedź dana była tak cicho, że dik, aby cośkolwiek usłyszeć, pochylał się gwałtownie naprzód. Zapomniał zupełnie, że ramy okna na których się opierał są stare i zmuszały. Nagle rozległ się głośny trzask. Ramy i szyby pod naciskiem wielkiego ciężaru pękły, a dik runął, wśród huku spadających szczątków okna, głową na dół.

ROZDZIAŁ XVIII.

Oto idzie kosiarz, a zwie się... śmierć.

Zanim ogłuszony zupełnie upadkiem dik zdołał podnieść się, rzucili się czterej zamaskowani spiskowcy na niego i związali mu, mimo rozpaczliwej obrony, ręce i nogi. Usunęli potem spadłe gruzy na bok, a jego postawili w świetle płonącej lampy.

— Czy mówi pan po włosku? — zapytał dowódca lichą angielszczyzną. Inni tymczasem obszukiwali dom dookoła, po chwili wrócili i otoczyli go kołem.

— Nie — skłamał dik, starając się zachować zimną krew.

— To kłamstwo — zauważył drugi bandyta. — Umie on mówić kilkoma językami, a po włosku mówi bardzo dobrze.

Dik poznał mimo maski głos mówiącego.

— Clark! Zdrajco! — krzyknął w nagłym napadzie wściekłości.

Sekretarz chciał się rzucić na niego, ale przywódca powstrzymał go.

— I cóż to szkodzi — odezwał się z lekceważeniem. — Nie będzie on mógł za chwilę już nikomu szkodzić ani opowiedzieć tego, co tu słyszał.

Zimna stanowczość tych słów spowodowała u Dika zimny dreszcz. Los jego był prawdopodobnie już postanowiony. Tylko odważna komedia mogła go może jeszcze uratować.

— Nie ufajcie zbyt swojemu sprytowi — odezwał się spokojnie. — Clark opowiedział wam zapewne prócz innych szczegółów o mnie, także i ten, że jestem współpracownikiem najbardziej wpływowego pisma „Waszyngtoński Star“. A panowie wiecie, jaką potęgą w Ameryce jest prasa.

Słowa jego sprawiły na słuchających bandytach widocznie silne wrażenie, gdyż zaczęli niespokojnie na siebie spoglądać. Przywódca jednak oświadczył szybko i energicznie.

— Nam jest zupełnie obojętnym, kto za panem stoi. Jesteś w naszej mocy i nie ujdiesz losu szpiega.

Dik uczył, że odwaga zaczyna go opuszczać. Czuł jednak dobrze, że chodzi tu o jego życie. Chciał zyskać na czasie, a liczył jeszcze na to, że w ostatniej chwili coś przecież może mu przyjść z pomocą.

— Zostałem wysłany, aby śledzić tego człowieka — oświadczył, wskazując na Clarka. — Mylicie się panowie bardzo, jeśli wyobrażacie sobie, że nikt nie zauważył mego nagłego zniknięcia. Już jutro w południe zostaniecie wszyscy aresztowani, a wasz zamach na księcia Y... zostanie w zarodku udaremniony. Zamiast wykonywać rozkazy kamorry, przygotujcie się na to, że powieszają was w nagrodę za moją śmierć.

— Wszystko to bardzo piękne, o ile istotnie tak będzie, jak pan mówi — odpowiedział mu spokojnie przywódca. — O pana śmierci na razie — niestety — nikt się nie dowie. Dla nas nie przedstawia to żadnej trudności, aby podrzucić sfałszowany list lub telegram i zawiadomić w ten sposób pana redakcję, że pan nagle musiał wyjechać do Europy. Jeden z naszych ludzi obejmie rolę pana w czasie przejazdu przez ocean. Takie rzeczy umiemy urządzać. Całe miesiące upłyną, zanim ostatecznie

świat się dowie, że pan na prawdę zginął. A wtedy, to już nawet śladu po panu nie będzie.

— Slicznie pan opowiada — odpowiedział dik. — Zapomina pan jednak, że mam, niestety, ciało, które was przedzej, czy później zdradzi.

— O nie! — zaprzeczył Włoch, sięgając równocześnie do torebki ręcznej, jaką miał przy sobie. Wydobyl z niej małą flaszeczkę i przyrząd do wstrzykiwania.

— Na wszystkie ewentualności zawsze jesteśmy przygotowani. Zastrzykniemy panu tylko kilka kropel tej trucizny, która działa piorunująco. Nie tylko jednak pan od niej natychmiast zginie, ale także zmieni ona zupełnie twarz pana i pokrzywi całe ciało, że nikt pana nie pozna. Zresztą rozkład nastąpi w przeciągu kilku godzin.

Dik był odważny, ale wobec tej groźby śmierci dreszcz przerażenia wstrząsnął nim. Odwaga zaczęła go opuszczać, czego, mimo wysiłków, nie mógł już ukryć wobec bandytów. Wobec sztyletu lub rewolweru byłby odważnie dotrzymał miejsca, ale ta śmierć była czymś tak strasznym, że zimny pot pokrył mu czoło. Bez ruchu patrzył osłupiały, jak Włoch odkorkował flaszeczkę i napełnił strzykawkę. Przypomniała mu się Peggy, jego ukochana, słodka dziewczyna i mimo woli jęk wydobył mu się z piersi.

— Eh! to nic wielkiego! — pocieszył go Włoch. — Jedno ukłucie igłą, kilka silniejszych drgawek i po wszystkim.

W tej chwili skinął ręką, a na ten znak obcieli dikowi bandyci manszet i odstąpili ramię. Włoch wyciągnął rękę, aby silnym pchnięciem wbić mu igłę w łokieć, kiedy nagle rozległ się strzał.

Przywódca bandytów padł na ziemię, a straszne narzędzie mordu rozbiło się na drobne kawałki.

— Ręce w górę!

Donośny głos szedł od górnego okna. Trzej pozostali bandyci spojrzeli przerażeni i zobaczyli skierowane na siebie dwie lufy rewolwerów. Pozostali więc bez ruchu. Dik osunął się omdlały na ziemię.

W kilka minut potem dik odzyskał znowu przytomność. Zdumiony spojrzął na wysokiego mężczyznę, który stał nad nim pochylony z flaszka koniaku w ręce.

— Smirnow! — wykrztusił. — Skąd do diabła wziął się pan tutaj?

— Spokój! spokój, mój przyjacielu. Napij się pan najpierw trochę koniaku — odpowiedział zagadnięty, a kiedy dik usłuchał, dodał spokojnie: — Jestem członkiem tajnej policji i miałem polecenie czuwać nad życiem księcia Y...

ROZDZIAŁ XIX.

Narada.

— Ach, jakżeż mnie głowa boli! — jęczał dik. — A wszystkie kości mam, jak polamane.

Dotykał się ostrożnie po kolei nóg, ramion i żeber, poprawiając się przytem powoli na kanapce.

— Wszystko to jest naturalnem następstwem przejść, jakie pan miał tej nocy — odpowiedział Lony. — Szkoda, że nie było mnie tam z panem. Nudziłem się przeokropnie w towarzystwie pewnej starej baby. Ze też ja zawsze muszę mieć pecha!

A z pana dobry sobie wesołek! mruknął dik. — Zazdrościć mi takiej awantury! Pan, który uczestniczył w wielkiej wojnie?! Ależ to było coś wstępnego, kiedy ten drab podszedł do mnie z tą strzykawką! Jeszcze teraz robi mi się słabo, kiedy o tem myślę. Nigdy jeszcze w życiu nie ucieszyłem się tak widokiem znajomej twarzy, jak wtedy, gdy zobaczyłem Smirnowa.

— Istotnie, po prostu cudem uniknąłeś pan śmierci. Czy pytałeś Smirnowa, skąd on się tam tak niespodziewanie znalazł?

— Nie, stan mój był tak opłakany, że Smirnow odesłał mnie do domu z jednym z jego pomocników. Bardzo dobrze pan zrobił, że pan o całej awanturze zawiadomił mego szefa, kochany Lony!

— Byrd był bardzo uprzejmy i kazał panu powiedzieć, abyś się z powrotem do redakcji nie spieszył, aż zupełnie wydobrzejesz i staniesz się zdolny do pracy — opowiadał Lony. — Chce nawet spokojnie czekać, aż sam będziesz mógł napisać sprawozdanie o całym wypadku. Powiedziałem mu, że jest to sprawa państwowa, którą na razie należy utrzymać w tajemnicy.

— Gdzie też Smirnow tak długo siedzi? — niecierpliwił się dik — spoglądając na zegarek. — Lada chwila powinien nadejść, a poleciłem pani Brisbane, aby go zaraz do mnie wprowadziła.

— W takim razie może ja odejdę — oświadczył Lony, wstając.

— Nie, nie, Lony, siadaj pan i pozostań. Chciałbym bardzo, aby pan poznał tego człowieka.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi, a równocześnie pani Brisbane zawołała: „Przyszedł hrabia Smirnow“.

Dik podniósł się szybko z kanapy i podszedł ku drzwiom.

— Dzień dobry, panie hrabio! — powitał wchodzącego, podając mu rękę. — Pani Brisbane, nie wejdzie pani do nas na chwilę?

Pani Brisbane nie miała jednak czasu i zawróciła od drzwi. Dik wprowadził Smirnowa do pokoju.

— Hrabia Smirnow — mój przyjaciel generał Lony — przedstawił obu panów.

— O, o generale Lony słyszałem już nieraz — zawołał wesoło hrabia. — Cieszę się bardzo, że mogę poznać tak wybitnego oficera.

— A ja cieszę się, że mam możliwość podziękowania panu za uratowanie mego przyjaciela Tillinghast, panie hrabio — odpowiedział Lony.

Obaj mężczyźni wymienili uścisk dłoni, poczem usiedli. Dik, w roli gospodarza, przyniósł cygara, papierosy, syfon wody sodowej i flaszę whisky.

— Z wielką trudnością znajduję słowa na wyrażenie mych uczuć, panie hrabio — powiedział bardzo poważnie, siadając także razem z nimi.

— Zaciągnąłem wobec pana taki dług wdzięczności, że nie będę go umiał nigdy spłacić.

— Jeśli zyskałem przez to pana przyjaźń, to dostatecznie zostałem wynagrodzony — odpowiedział hrabia równie poważnie, spoglądając przytem z widocznym zadowoleniem w piękne i poważne oblicze Dika.

— Jak się to stało, panie hrabio, że pan w tak odpowiedniej chwili zjawił się w pracowni malarzkiej Dorsey'a? Jeśli można, prosimy, aby pan nam opowiedział tę historię — odezwał się Lony, aby przerwać trochę kłopotliwe milczenie.

— Czy mogę mówić tu o sprawach ściśle poufnych? — zapytał Smirnow, rozglądając się po pokoju.

— Ależ zupełnie spokojnie, tu nas nikt nie podsłucha.

— A więc, przed kilkunastu tygodniami otrzymała nasza tajna policja doniesienie, że zamierzony jest zamach na księcia Y... — rozpoczął hrabia. — Zamach przygotowuje kamorra.

— Przypuszczałem, że takie rzeczy robią tylko nihilści! — wtrącił Lony.

— Nihilści, anarchiści, mafia, czy kamorra — wszyscy oni walczą ciągle z prawem i porządkiem społecznym, panie generale — odpowiedział Smirnow. — Nazywaj ich pan, jak pan chce. Wszystko to są bandyci jednego pokroju. Obecnie kamorra dobiera się do życia księcia Y... ponieważ on spowodował ukaranie kilku jej przywódców. Skoro więc stało się głośnie, że książę weźmie udział w uroczystości odsłonięcia pomnika Lincolna, zaczęli tu tejsi przywódcy kamorry przygotowywać zamach na niego. Mnie powierzono śledztwo w tej sprawie i dlatego przybyłem do Ameryki. Tutaj w Waszyngtonie porozumiałem się natychmiast z szefem waszej policji tajnej i razem z nim staraliśmy się ochraniać księcia Y... Moi agenci donieśli mi, że pewna grupa Włochów, przebranych za handlarzy owocami, gromadzi się u niejakiego Tomaso Velati, mieszkającego na Anacostia. Kazałem sobie pokazać owego człowieka i, mimo doskonałego jego przebrania, poznałem w nim człowieka, którego już dawno podejrzewaliśmy o stosunki z kamorrą. Podejrzenia moje utrwaliły się i kazałem go śledzić bez przerwy. Wczoraj wieczorem udałem się z czterema waszymi agentami do Anacostii. Najpierw poszliśmy do pewnej restauracji nad brzegiem rzeki, gdzie miał przyjść agent pilnujący Velatego. Czekaliśmy bardzo długo, tak, że wreszcie zniescierpliwiony, miałem zamiar sam ruszyć na poszukiwania za Tomaszem. Wreszcie przybiegł zdyszany agent i zameldował mi, że śledził Tomasa, gdy ten udał się do oddalonego o 5 kilometrów samotnego domu. Tam czekał długo, aż przybyło jeszcze trzech innych mężczyzn.

Mój człowiek znał doskonale okolice Anacostii. Poprowadził też nas krótszemi drogami, tak, że zdążyliśmy na czas. Włosi byli tak zajęci panem, panie Tillinghast — że nie słyszeli, jak nadeszliśmy. Zobaczyłem, że przez okno w dachu przedziera się światło z wewnątrz. Wylazłem na górę przy pomocy drzewa, rosnącego obok i zdążyłem jeszcze na czas, aby powalić Tomasa, kiedy z strzykawką pochylał się nad panem.

Dik odetchnął głęboko. Cała przeżyta scena stała mu żywo przed oczami i wspomnienie jej wzruszyło go bardzo.

— Proszę, nalej pan sobie choć trochę — podsunął hrabiemu syfon i whisky. Smirnow zabrał się ochoczo do przyrządzenia sobie napoju, a obaj poszli za jego przykładem.